

W imperium Majów



W czasie podróży jestem jak żółta łódź podwodna. Głęboko zanurzona. We własnych myślach. Zdarza się jednak czasami, że ocean zamienia się w pustynię. Tak jak wtedy, gdy autobus wyrzucił mnie na szosie, a kierowca machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Tam? – zapytałam z nadzieją, nie do końca sama rozumiejąc, gdzie miałyby się znajdować to tajemnicze „tam”, z którego miałam łapać następny środek transportu.

Odpowiedział mi ryk silnika wymieszany z kłębami czarnych spalin, które wzbilyby się w powietrze jak potworna chmura, gdyby nie fakt, że spod kół autobusu jednocześnie podniosły się dzikie obłoki białego pyłu, który chwilowo zasłonił wszystko. Nawet moje własne myśli.

Autobus pogalopował w siną dal, a ja, usiłując nie wykaszleć z siebie wszystkich wnętrzności, szarpnęłam za torbę i ruszyłam przed siebie.

Szosa była w całkiem dobrym stanie, równa i gładka, pokryta asfaltem. Jedyna jej wada polegała na tym, że wciąż znajdowała się w trakcie budowy, a jeśli ktoś widział kiedykolwiek budowane drogi, to wie, że potrzeba do tego setek ton piasku, który rozpada się na drobny i sypki biały pył, który przy najmniejszym powiewie wiatru unosi się nad ziemią. Wiatru zaś tamtego dnia nie brakowało. Powiem więcej: trwał festiwal huraganów i tajfunów wywoływanych przez pędzące dookoła ciężarówki, autobusy i pickupy. Właśnie przejechał następny samochód, posypując mnie coraz grubszą warstwą białego kurzu, który skrzypiał w zębach, dławił w gardle i szczypał w oczy. Gwatemalscy kierowcy mają w sobie dziwny niepokój, który każe im pędzić na złamanie karku niezależnie od okoliczności. Równie gwałtownie naciskają na pedał hamulca, gdy na horyzoncie pojawi się samotny pieszy. Nie trzeba czekać na nieistniejących przystankach. Wystarczy pojawić się na drodze, żeby zatrzymać pierwszy przejeżdżający autobus.



Nie zdziwiłam się więc, gdy nagle w chmurze kosmicznego pyłu usłyszałam zgrzyt hamulców i charakterystyczne rżenie silnika. To był jeden ze słynnych amerykańskich autobusów, które w latach sześćdziesiątych dowoziły dzieci do szkoły. Były specjalnie zaprojektowane, z długą maską, niewielkimi oknami podnoszonymi do góry i specjalną ramą do otwierania drzwi, którą obsługiwał osobiście kierowca. Wszystkie były pomalowane na żółto i musiały spełniać tak surowe wymogi bezpieczeństwa, że okazały się prawie niezniszczalne. Po latach służby w USA trafiły do Meksyku, Gwatemali, Nikaragui, Hondurasu i innych krajów Ameryki Środkowej, gdzie przewożą dorosłych na jak najbardziej poważnych trasach międzymiastowych. Siedzenia są wprawdzie za ciasne, przestarzałe silniki zatruwają środowisko, a w środku wciąż wiszą instrukcje dla grzecznych uczniów, ale udało się zamalować żółtą farbę i napis SCHOOL BUS pełnymi fantazji kolorami miejscowych artystów.

Taki właśnie autobus zahamował z piskiem opon kilka kroków ode mnie a ja, zgodnie z lokalnym zwyczajem, z nadzieją zawołałam dokąd chcę jechać. Musiało to zostać odebrane jako totalne nieporozumienie, bo w następnej sekundzie autobus wypuścił na mnie kłęby czarnych spalin, posypując po chwili białym pyłem spod odjeżdżających w pośpiechu kół. Z tej chmury wyłoniła się nagle Indianka z dzieckiem.

Spojrzałyśmy na siebie z zaskoczeniem. Indianka była ubrana w tradycyjny strój, czyli grubą, bogato haftowaną bluzkę zwaną *huipil* i spódnicę z kilku metrów materiału okręconego wokół bioder i związanego haftowanym paskiem. Ja miałam włosy białe i sztywne od kurzu, krótkie spodenki i koszulę z podwiniętymi rękawami.

Poczułam się jak w filmie „Powrót do przeszłości”. Trafiłam właśnie do szczeliny w czasoprzestrzeni, a Indianka była uciekinierką z Imperium Majów, gdzie urządzano oblawy na jeńców i niewolników. Nikt nie mógł być pewien swojej przyszłości. Bogowie opiekowali się światem pod warunkiem, że pod dostatkiem będą mieli tego, co lubią najbardziej, czyli ludzkiej krwi. Władcy własnoręcznie nakłuwali sobie języki, uszy i intymne części ciała, żeby nakarmić bogów własną krwią. Wojny urządzano wyłącznie po to, żeby schwytanych żywcem przeciwników złożyć w ofierze. Największym zdumieniem dla Majów było to, że Hiszpanie po przybyciu do Ameryki Środkowej strzelali do Indian z broni palnej i zabijali ich na śmierć. Takie marnotrawstwo nie mieściło im się w głowie, bo przecież martwy wróg jest całkowicie bezużyteczny. Żywego można przywiązać do pała, pomalować na niebiesko, białą farbą zaznaczając miejsce, gdzie znajduje się jego serce. Następnie wojownicy rozpoczynali dookoła niego dziękczynny taniec, przerywany na chwilę przez kapłana, który ostrym nożem nacinał genitalia ofiary i pierwszymi kroplami jego krwi smarował twarze boskich posągów. Potem taniec trwał jeszcze przez jakiś czas, by wreszcie na określony znak wszyscy tancerze jednocześnie napinali łuki i strzelali prosto w serce ofiary. Strzały sterczały z jego ciała jak kolce gigantycznego jeża. Krew ofiarowywano bogom.



*Indianki sprzedające
owoce na targowisku
są ubrane w tradycyjny
strój – haftowaną
grubą bluzkę zwaną
huipil i spódnicę
zrobioną z pasa
materiału zawiniętego
na biodrach*



Rzeźbiarz obudził się jak zwykle przed świtem, wypił szklankę gorącej kukurydzianki i jak co rano zabrał się do pracy w swoim domowym warsztacie





Były też inne sposoby składania ofiar z ludzi. Niektórych wrzucano do głębokich naturalnych studni, zwanych *cenote*, gdzie mogli spotkać się bezpośrednio z Bogiem Deszczu. Gdyby wypłynęli z powrotem na powierzchnię, byłby to dowód na to, że odbyli boskie spotkanie i mają ludziom do przekazania ważną wiadomość.

Czasem ceremonie odbywały się przed świątynią zbudowaną na szczycie piramidy. Jeńca kładziono plecami na okrągłym kamieniu, pomocnicy przytrzymywali go za ręce i nogi, podczas gdy kapłan specjalnym czarnym, obsydianowym¹ nożem nacinał skórę między żebrami, a potem jednym ruchem wyrywał mu z piersi wciąż bijące serce.

Gdyby bogowie uznali, że ludzie niewystarczająco pilnie wypełniają swoją misję dbania o ich dobre samopoczucie, mogliby łatwo zniszczyć całe życie na Ziemi i zabić wszystkich ludzi, tak jak to zrobili cztery razy wcześniej. Każde dziecko w Imperium Majów o tym wiedziało. Wiedziałam też i ja.

Z wyrazu twarzy stojącej przede mną Indianki domyśliłam się, że ona także o tym wie i być może w rzeczywistości jest tajemnym wysłannikiem z Imperium Majów, który wyruszył w przyszłość, by tam uzupełnić wciąż zbyt małe zastępy jeńców i niewolników przeznaczonych do złożenia w ofierze.

Czas zatrzymał się na chwilę w kłębach spowijającego nas białego pyłu.

– *Buenas tardes*² – rzuciłam nieśmiało, licząc na to, że bogowie Majów będą dla mnie łaskawi.

Indianka otworzyła usta i błysnęła złotą gwiazdką, którą miała wstawioną w przedni ząb. Nie usłyszałam co mówi, bo jej słowa znikły w pisku hamulców białego minibusa, który zatrzymał się na drodze i wielce obiecująco otworzył dla mnie drzwi.



*Kolorowe autobusy
jeżdżące na
międzymiastowych
trasach w Gwatemali
to szkolne
amerykańskie
autobusy z lat 60.,
przemalowane przez
lokalnych artystów*

¹ Obsydian – skała pod postacią czarnego, błyszczącego szkliwa wulkanicznego, z której robiono rytualne noże, zwierciadła, groty strzał i rodzaj mieczy zwanych *macuahuitl*, gdzie na drewnianą rękojeść nakładano obsydianowe ostrza. Podczas składania ofiar z ludzi kapłani Majów rozcinali ich ciała nożami z obsydianu.

² *Buenas tardes* – (hiszp.) Dzień dobry (używane po dwunastej w południe)





Kolega kogut



Wnętrze minibusa najłatwiej będzie porównać do puszki z sardynkami, które wypełniają ją zawsze tak szczelnie, jakby producent zmagał z nieustannym nadmiarem ryb, usiłując je na siłę wcisnąć do każdego opakowania. Gwatemalscy kierowcy stosują tę samą zasadę w stosunku do pasażerów. Nie zdziwiłam się więc specjalnie, kiedy po otwarciu drzwi zobaczyłam ciasno upakowane plecy, łokcie, kolana, fragmenty spódnic, kapeluszy i dziób koguta.

Indianie siedzący w drugim rzędzie zrobili mi dwa centymetry miejsca. Natychmiast skorzystałam z tej okazji, wciskając się między haftowaną, bufiasto sterczącą na biodrach spódnicę a czarne nogawki spodni wpuszczone w stare kalosze. Chwilo-wo straciłam kontakt z moją głową, która wylądowała w okolicach trzeciego rzędu pasażerów, tam gdzie podróżował kogut. Miałam na nosie jego nieco oklapnięty grzebień, z czego początkowo żadne z nas nie zdawało sobie zresztą sprawy.

Kiedy udało mi się umieścić wszystkie nogi i ręce wewnątrz samochodu i upewniłam się, że posiadam wciąż pewien kontakt z pozostałymi częściami mojego ciała, kierowca nadepnął na pedał gazu. Wystrzeliliśmy z miejsca jak rakieta i jestem pewna, że łatwo unieślibyśmy się w powietrze, gdyby nie to, że samochód był kosmicznie obciążony. Moje prawe oko wylądowało na plecach kościstej staruszki, ale lewym udało mi się mniej więcej ogarnąć sytuację.

W minibusie znajdowały się trzy rzędy siedzeń. W pierwszym były trzy fotele, w pozostałych po cztery. Daje to teoretycznie liczbę jedenastu pasażerów, co w Gwatemali łatwo daje się pomnożyć przez trzy, pięć, a nawet dziesięć, jeśli zajdzie taka potrzeba. W samym tylko pierwszym rzędzie za kierowcą jechało pięcioro dorosłych i sześcioro dzieci, które z indiańską cierpliwością siedziały na podłodze upchnięte między kolanami a tobołkami rodziców. Dwóch Indian stało przyklejonych do drzwi. Jeden wisiał pod sufitem, cudownym sposobem zahaczając się o klamki i oparcia foteli. Przez moment przeszło mi przez myśl, że trafiłam do pojazdu transportującego mutanty kon-



tynuując ucieczkę z filmu X-men geneza: Wolverine, ale wtedy właśnie zauważyłam jakąś czerwoną, bezkształtną masę leżącą na moim nosie. Był to grzebień koguta, który bez wątpienia był prawdziwy, bo od czasu do czasu piał. Nie grzebień, oczywiście, tylko kogut, patrząc przy tym na mnie z dziwnym wyrazem drobiowego wyrzutu.

– Ko, ko, ko, kogo przyniosło z obcego kurnika? – pytał jego gwatemalski dziób, a ja usiłowałam ignorować tę zaczepkę.

Ludzie jako pasażerowie byli doskonale obojętni. Mieli na twarzach ten sam rodzaj filozoficznej medytacji, który znałam z życia wśród tubylców w dżungli Ameryki Południowej. To taki stan, kiedy człowiek nie myśli o przyziemnych sprawach, tylko wisi na obłoku swojego zamyślenia. Nikt nie narzekał, nikt nie stękał, nikt się nie denerwował, że ktoś mu wypcha łokieć do oka. Było ciasno, ale jednak jechaliśmy do przodu. „Jechaliśmy” to właściwie niedokładnie powiedziane. Przy każdym zakręcie przesypanyśmy się z lewej strony na prawą i odwrotnie jak worki ziemniaków zamknięte w przyczepie. Samochód skrzypiał, rzęził i jęczał, ale cudem nie rozpadał się na kawałki. Nagle stanął.

– Ko, ko, ko, ko, kolejny przystanek – zawołał kogut, a ja z ulgą pomyślałam, że jesteśmy na miejscu. Rzuciłam kogutowi zwycięskie spojrzenie, ale on znał miejscowe obyczaje znacznie lepiej niż ja.

– Po ko, ko, ko, ko, kolei! – dorzucił po chwili, gdy drzwi zostały otwarte. Indianin z sufitu miękko opuścił się na wycieraczkę, a dwaj mężczyźni w przejściu wypadli na zewnątrz jak dojrzałe gruszki, które żadną siłą dłużej nie są już w stanie wisieć na gałęzi.

Przy drodze stała grupka Indian. Zwycięskim gestem odrzuciłam z twarzy grzebień koguta i ucieszyłam się, że za chwilę będę mogła znów normalnie oddychać. Dziwne jednak wydało mi się to, że choć samochód się zatrzymał, nikt nie przejawiał chęci wydostania się na zewnątrz, a wprost przeciwnie – Indianie wydawali się jeszcze bardziej kurczowo trzymać swoich miejsc. Otworzyłam szeroko oczy, z niedowierzaniem patrząc jak Indianka obok mnie robi centymetr wolnego miejsca, na który natychmiast pakują się nowi pasażerowie.

– To jakaś ko, ko, ko, ko, kosmiczna pomyłka! – miałam ochotę zawołać, ale kogut mnie ubiegł i zaryczał wielkim głosem:

– Ko, ko, ko, ko, kochamy gwatemalskie środki komunikacji publicznej!

Dlaczego? Bo jeżdżą. Choć w niewiarygodnym ścisku, kurzu i ciasnocie, to jeżdżą, przemieszczając się uparcie z miejsca na miejsce. Największą zaś zagadką gwatemalskich busów jest to, że nigdy nie trzeba na nie czekać.

Podczas całej kilkutygodniowej wyprawy podróżowałam wyłącznie lokalnymi środkami transportu, dochodząc do pewnego zdumiewającego wniosku. Albo Gwatemalczyki są najbardziej podróżującym narodem świata, albo ja miałam wyjątkowe szczęście, bo nigdy nie czekałam na kolejny autobus lub samochód dłużej niż pięć minut.





Kiedy zatrzasnęły się drzwi samochodu, zostałam wciśnięta w szparę w podłodze, czując wciąż na ciele dotyk drobiowego współpasażera i jego jakże nieomylnie rozpoznawalny zapach. Zdążyłam tylko pomyśleć zdanie, które wypowiedział kiedyś najbardziej znany mutant świata, Wolverine w osobie Hugh'a Jackmana:

– I've been through worse³.

A potem resztkami świadomości zawisłam między krawędzią fotela a nogami kolegi koguta i w takiej pozycji zapadłam się w nicość, która trwała tak długo, że nie starczyłoby dla niej miejsca na tej stronie.

Kiedy się ocknęłam, kogut z dość posępnym wyrazem dzioba wyglądał przez okno, a samochód wjeżdżał właśnie do słynnej miejscowości Chichicastenango, gdzie w każdą niedzielę odbywa się największe indiańskie targowisko w Ameryce Środkowej.

Gwatemalska ulica o poranku – worki z maniakiem i ziemniakami, kartony ze słodyczami, po lewej stronie na pierwszego klienta czeka czyszciciel butów, a w głębi dr Lopez otworzył już swój gabinet dentystyczny, czyli Laboratorio dental



³ *I've been through worse* – (ang.) Bywało gorzej.

DE VENTA AQUÍ





Pio Lindo to sieć sklepów, gdzie można kupić wszystko, co jest potrzebne na co dzień – od zimnej coli, po ryż i sardynki w puszcze. A przed sklepem można też spokojnie odpocząć



Gwatemalski cud



To dziwny cud, który zdarzał mi się codziennie podczas podróży po Gwatemali. Pewnego dnia jak zwykle o świcie przyszedłam do miejsca określanego szumnie „terminalem”, skąd odjeżdżały minibusy zwane *colectivos*, czyli „zbiorówki”. Jak się zbiorą pasażerowie, to pojazd wyruszy. Chciałam przedostać się dalej na południe. Obejrzałam piramidy w Tikal, zwiedziłam osobliwe miasteczko Flores nad brzegiem jeziora i znacznie bardziej zwyczajne siostrzane miasto Santa Elena.

O szóstej rano przy szosie kręciło się mnóstwo samochodów, kierowców i potencjalnych pasażerów, a wśród nich siedziały spokojnie Indianki, sprzedając gorące *tamales*. Nigdy za nimi nie przepadałam. *Tamales* to kawałek ugotowanego ciasta z mąki kukurydzianej, w którym czasem bywają zatopione szczątki kurczaka albo wieprzowiny, zawinięty w liść bananowca. Ciasto jest mdłe, ma konsystencję sztywnej papki i rośnie w ustach. Ale kiedy nie ma nic innego, *tamales* smakują naprawdę fantastycznie.

Najpierw jednak chciałam znaleźć samochód, co jest o tyle łatwe, że należy do najważniejszych obowiązków pomocników kierowców. To oni biegają dookoła, wykrzykując skrócone nazwy wiosek i miast w najbliższej okolicy. Czasem wygląda to jak tajemny szyfr, który pozwala odnaleźć ludzi połączonych wspólnym przeznaczeniem. Trochę jak w Matriksie, każdy z pasażerów jest jak Neo we mgłę, poszukując drogi prowadzącej do Zionu.

– Huehue, Huehue! – krzyczy chłopak w wytartych dżinsach i koszuli w kratkę, powtarzając to magiczne hasło co dwie sekundy.

– Guate, Guate!! – wtóruje mu inny, rytmicznie rozłamując słowo w połowie, tak jakby ostatnia sylaba była uderzeniem w bęben.

– Pana, Pana, Pana!!! – powtarza na cały głos trzeci pomocnik, zlepiając kilka słów w jedno.



I tak każdy wie, że Huehue to Huehuetenango, Guate to Guatemala City, a Pana to Panajachel nad brzegiem jeziora Atitlán. Czasem trudno się domyślić dokąd jedzie minibus, bo na przykład Xela to skrót od miasta Quezaltenango.

Pomocnicy chodzą więc po parkingu, wrzeszcząc z całych sił tajemne hasła, będące skrótami nazw miejscowości, a pasażerowie pojawiają się z nienacką w pobliżu samochodów jak spadochroniarze z desantu.

– Huehue, Huehue!!!! – krzyczy pomocnik kierowcy z taką mocą i energią, jakby został zaprogramowany i wyposażony w silnik ze wzmacniaczem.

Naprzeciwko niespodziewanie pojawia się Indianka objuczona tobołkami. Następuje błyskawiczny kontakt wzrokowy.

– Huehue, Huehue!!!! – woła pomocnik, tak jakby nigdy wcześniej jeszcze nie wypowiedział tych słów.

Indianka patrzy mu w oczy i lekko może skinąć głową.

– Huehue, Huehue!!!! – wrzeszczy pomocnik, potwierdzając swoją wcześniejszą ofertę i utwierdzając Indiankę w przekonaniu, że on będzie jej przeznaczeniem, ponieważ właśnie trafiła we właściwe miejsce we właściwym czasie.

– Huehue? – upewnia się pomocnik, rzucając to słowo jak tajemne hasło.

– Si – odpowiada Indianka i umieszcza tobołki na siedzeniu, a pomocnik kierowcy odchodzi, wrzeszcząc jak nakręcony:

– Huehue, Huehue, Huehue!!

I będzie tak chodził po parkingu i po szosie przez następną godzinę lub dwie, czyli tak długo, aż zbierze tylu pasażerów, żeby zapełniły się wszystkie miejsca w busie jadącym do Huehue.

Tamtego dnia z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że nikt nie krzyczy nazwy wybranego przeze mnie miasteczka, nikt nie wywołuje mnie z ciemności i nie czeka na moje nadejście.

Podeszłam bliżej.

Prawie natychmiast z bladej poranka zmaterializował się pierwszy z kierowców, który pośpiesznie zmierzał do mnie, wykrzykując swoje tajemne hasło. Pokręciłam głową, rzucając w odpowiedzi wybraną przeze mnie nazwę. Minęliśmy się jak dwa statki na oceanie. Prawie od razu wpadłam na następnego kierowcę i znów wymieniliśmy się niekompatybilnymi nazwami miejscowości, po czym każde z nas ruszyło dalej przed siebie. Trzeci kierowca zatrzymał się i przestał na chwilę wrzeszczeć.

– To tam – pokazał ręką na szosę. – Tam trzeba czekać.

Posłusznie stanęłam na szarym piasku. Z parkingu odjechał kolejny minibus wypełniony pasażerami, a ja czekałam. Musiałam się na chwilę zamyślić, bo nie zauważyłam skąd ani kiedy nagle tuż obok mnie pojawił mężczyzna w czarnej czapce z daszkiem. Strasznie się śpieszył.

– Do Chichi?! – zawołał.





– Tak!

– To tam! – krzyknął, złapał za moją torbę i zaczął uciekać.

A ja rzuciłam się w pościg za nim, przez piaszczyste pobocze, kawałek wydeptanego trawnika i pochyłe zbocze. Biegłam z całych sił, usiłując nie stracić z pola widzenia jego czarnej czapki. W pewnej chwili mężczyzna zmieszał się z grupką Indian, a kiedy i ja wskoczyłam między nich, zobaczyłam, że podaje moją torbę innemu mężczyźnie, który chwyta ją i zwinnie mimo ciężaru wdrapuje się na drabinkę prowadzącą na dach samochodu.

– Chichi? – woła do mnie.

– Tak!

– Wsiadaj, wsiadaj, zaraz odjeżdżamy!

Wsiadłam, czyli wcisnęłam się między kolana, tobołki i łokcie pozostałych pasażerów, uświadamiając sobie, że nie znam nawet przybliżonych losów mojej torby, którą po raz ostatni widziałam w rękach człowieka na drabince. Mógłby ją rzucić do następnego współnika albo uznać, że jest zbyt ciężka i zostawić na parkingu. Mógłby ją też umieścić na dachu obok innych bagaży, nie troszcząc się czy dojedzie wraz ze mną do celu, czy też nie. Nigdy w życiu nie byłabym w sta-

*Telefony komórkowe
to rzecz bardzo
luksusowa
i praktycznie
niespotykana wśród
gwatemalskich Indian*





nie udowodnić, że podróżowałam z bagażem, który celowo lub przez przypadek został zagubiony.

Ale też nigdy nie było takiej potrzeby. Moja torba była przekazywana z rąk do rąk przez kierowców, pomocników kierowców, asystentów pomocników i innych uprzejmych nieznajomych. Zawsze jednak lądowała na dachu odpowiedniego busa i zawsze była porządnie przywiązana sznurkiem. Raz nawet zdarzyło mi się zostawić torbę na dachu jednego busa, którego kierowca obiecał, że przekaze ją następnemu kierowcy, który miał się zjawić na parkingu pół godziny później. Zgodziłam się bez wahania i poszłam na targowisko kupić coś do jedzenia. Kiedy wróciłam, moja torba leżała już przywiązana na dachu i gotowa do drogi, a drugi kierowca, który zjawił się w międzyczasie, pomachał do mnie przyjaźnie i pokazał gdzie mam usiąść.

Wcześniej przez prawie dwadzieścia lat w różnych częściach świata doświadczałam najbardziej sprytnych i genialnych pomysłów lokalnych złodziei. Potrafilo łowić bagaż na wędkę, gubić klucze, żeby odwrócić uwagę ofiary, wysyłać na zwiady pogodną staruszkę albo sympatyczne dziecko. Podczas podróżowania po Peru, Kolumbii czy Wenezueli nauczyłam się, że trzeba bagaż przywiązywać do własnej nogi, żeby mieć pewność jego nieznikalności. Wymyśliłam kilka niezawodnych sposobów zabezpieczenia głównego i podręcznego bagażu podczas niebezpiecznych podróży autobusem, pociągiem albo statkiem, w czasie noclegów czy postojów na positek.

Tymczasem niespodziewanie w Gwatemali – kraju słynącym z bezlitosnych gangów złożonych z wytatuowanych zabójców⁴, napadów z bronią w ręku, gwałtów, kradzieży i skorumpowanych policjantów – spotkałam się z niewiarygodnym i nieprawdopodobnym poziomem uczciwości u absolutnie wszystkich napotkanych tubylców.

Nigdy wcześniej w żadnym kraju Ameryki Południowej ani Środkowej nie odważyłabym się zostawić bagażu u przypadkowo spotkanej barmanki. W Gwatemali zrobiłam to kilkakrotnie, nie mając wątpliwości, że kiedy wrócę dwie godziny później, znajdę moją torbę podróżną w tym samym miejscu, stanie i zawartości. Raz nawet kelnerka podczas zamiatania podłogi wystawiła mój bagaż poza kuchnię i zapomniała o nim. Kiedy wróciłam, w pustej sali nie było nikogo. Kelnerka drzemała na blacie w kącie, a moja torba stała jak samotny okręt na środku oceanu, czekając aż wrócę i zabiorę ją ze sobą.

Innego dnia nie zorientowałam się, że jestem już w miejscowości, gdzie chciałam wysiąść. Pomocnik kierowcy odwiązał moją torbę od bagażnika na dachu i rzucił ją w pył i piasek drogi. A ja spokojnie siedziałam w środku, przyglądając się kwitnącym na czerwono drzewom. Nagle w przejściu pojawił się zaniepokojony mężczyzna, wyraźnie szukając czegoś lub kogoś wśród pasażerów.

⁴ Mara Salvatrucha – jeden z najbardziej niebezpiecznych i bezwzględnych gangów świata. Powstał w Los Angeles, gdzie miał chronić salwadorskich imigrantów przed lokalnymi przestępcami, potem szybko przeniósł się do kilku krajów Ameryki Środkowej. Członkowie gangu słyną z czarnych tatuaży, które pokrywają duże części ciała, łącznie z głową i twarzą. Gang zajmuje się przemytem narkotyków, morderstwami na zlecenie, kradzieżą samochodów i napadami.



Chwila odpoczynku w oczekiwaniu na następny minibus i ciąg dalszy podróży, która prowadzi zapewne na lokalne targowisko – sądząc z bagażu składającego się z towarów do sprzedania

– San Marcos?! – zawołał do mnie.

– Tak – odpowiedziałam z zaskoczeniem, bo wyraźnie widziałam kilka minut wcześniej, że jesteśmy dopiero w miejscowości o nazwie San Pablo.

– San Marcos! – krzyknął z uporem. – To jest tutaj!

I rzeczywiście, okazało się, że San Marcos to część wioski San Pablo, a na parkingu obok stały autobusy gotowe do dalszej drogi. Moja torba – zakurzona i lekko zmaltretowana po długiej podróży – leżała w piasku, z nadzieją czekając na nasze ponowne spotkanie. Ucieszyłam się z niego jeszcze bardziej niż ona.

To był właśnie ten cud. Moja torba magicznym sposobem zawsze do mnie wracała, nawet jeśli znikająca mi z oczu podczas szturmowania na wolne miejsca w minibusie, porwana w biegu przez obcego tubylca albo pozostawiona pod opieką nieznaną kobiet. Gdyby ktoś mnie zapytał przed tą podróżą o poziom bezpieczeństwa w Gwatemali, złapałabym się za głowę i potrafiłabym wymienić co najmniej dziesięć żelaznych przykazań pilnowania swojego bagażu.

Tymczasem na miejscu okazało się, że nie tylko nikt nie czyha na mój dobytek, ale wprost przeciwnie – tubylcy pilnują go dla mnie lepiej niż ja sama.

Minibus wtoczył się na brukowane ulice Chichicastenango i stanął. Kierowca jeszcze przez chwilę trzymał ręce na kierownicy, jak gdyby się upewniał, że naprawdę istnieje. Pierwszy jak zwykle wyskoczył jego niezmordowany pomocnik. Wskoczył na dach, gdzie zaczął odwiązywać bagaże. Pasażerowie wychodzili bez pośpiechu, stając pod drabinką, skąd odbierali swoje worki, tobołki i kartony.

Kogut był smutny. Jego „ko, ko, ko” nie brzmiało już zaczepnie, ale bardziej przypominało wstęp do drobiowej rapsodii pod tytułem „Ko, ko, ko, ko, koniec”. Wkrótce zrozumiałam, dlaczego. Przy jednej z bocznych uliczek siedział Indianin otoczony klatkami. Tu dla miejscowych i przyjezdnych kur i kogutów zaczynała się droga prowadząca na czyjś stół. Mój kolega kogut musiał o tym wiedzieć.



*Czerwone papryczki –
najczęściej stosowana
i najłatwiej dostępna
przyprawa dodawana
do potraw. Sól i pieprz
trzeba kupować
w sklepie, a papryczki
za darmo rosną na
krzaku w ogrodzie*





Ca. virenida

